

Od autora: Oto druga część Opowiadania Biała Dziura. Jesteście ciekawi co stanie się z Yarem, jego żoną i całą dziwną wioską? Czytajcie!

BIAŁA DZIURA

CZĘŚĆ 2

Na karku wyczułem opadające z góry promienie słońca. Do moich nozdrzy łagodnie wpłynął świeży zapach lawendy. Rozluźniłem się, choć moje mięśnie bez ustanku pulsowały ogniem.

Gdy moje oczy otworzyły się, dostrzegłem świat pełen jaskrawych barw, tak bardzo wyostzonych i jasnych, że aż oczy od nich łzały.

Bez wyraźniejszego powodu, zacząłem się śmiać, choć przepona eksplodowała mi ognistym żarem, jakby ktoś z dwóch stron przebił ją dzidą. Krew leciała mi z nosa. Jej kropelki spływały strumykiem po mojej szyi. Opuściłem ciemną alejkę i stanąłem na obrzeżach tego nowego świata. Tworzyły go domki ułożone w rzędkach i oplecione dywanem drzew, oraz rosnące na każdym trawiastym skrawku róże, z domieszką wielu innych rodzajów kwiatów. Dźwięki składały się z ćwierkania ptaków i szumu... jakby powietrze było morzem.

Krocząc usypaną z żwiru dróżką, powoli mijałem ludzi, zamieszkujących to miejsce. Ludzi, których oczy czerniały pustką. Niektórzy spoglądali na czubki własnych butów, inni, zgarbieni kosili trawę, albo doili krowy.

Tu i ówdzie słyszałem płacz, jak nie dziecka, to staruszków, sterczących pośród snopów siana. Zastanawiałem się, z jakiej przyczyny tak płaczą, skoro przecież wszystko jest w należytym porządku.

Minąłem cmentarz, gdzie walały się kości zmarłych i groby, w postaci przypominającej głazy.

O stary buk, rzucający opierał się kościotrup obdarzony tylko jedną nogą.

W końcu przechodząc przez kolejny rząd domów, dotarłem do domu. Kanciasta chatka, tonąca w blasku słonecznej poświaty wyglądała tak samo, jak poprzednim razem. Na werandzie siedziała moja żona. Ona również się nie zmieniła. Prócz tego, że odzyskała już świadomość. I cieszyła się, jak nigdy przedtem.

Witaj, Yardzie. Przygotowałam herbatę. - oznajmiła, kiedy ja wchodziłem po schodkach. Nuciała pod nosem rytm piosenki, którą razem graliśmy.

Próbowała chwycić dygoczącą, siną dłonią filiżankę herbaty, ale ta upadła z trzaskiem na werandę i roztrzaskała się.

W odpowiedzi wpadła w śmiech. Z płuc dobył się zduszony charkot. Brzmiało to tak, jakby dławiła się własnym oddechem.

Usiadłem obok niej. Dotknęła mojego ramienia. Jej skóra była sucha, niczym kartka pergaminu, a żyły nabrzmiały i, zdawało mi się, że płynię w nich czarna krew. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Krew leci ci z nosa.

Ja chwyciłem w dłonie gitarę, nie specjalnie obchodząc się czerwonymi gryzmołami na mojej koszuli.

Zacząłem grać wesołą melodię, choć moje palce dziwnie się zachowywały. Jakby robiły się twardsze.

Ta wesoła melodia płynęła wzdłuż chałup wioski Sarein. Ale nie rozbawiała już jej mieszkańców.

Później przerwaliśmy piosenkę. Skończyła się nie tak jak zawsze. W połowie taktu.

Linda zamachnęła się kosą w tę część trawnika, na której rosło najwięcej chwastów. Zostało jej już tylko kilka metrów do wykoszenia, ale przy takim zmęczeniu, równało się to z kilometrami.

Kiedy skończy położyć się spać, mimo głodu rozpierającego jej żołądek. Tam, gdzie mieszkała, czyli w zabitej dechami ruderze, było więcej alkoholu niż wody i więcej ziół niż jedzenia. Nawet codzienne oranie zboża i pielęgnowanie ogrodu przynosiło marne rezultaty. Susza była wtórnym problemem. Głód nawiedzał ją głównie dlatego, że te wszystkie wykańczające zadania powierzono tylko jej - młodej dziewczynie, która mięśni miała tyle, że czterolatek spokojnie mógłby ją pobić. Gdyby chociaż miała jakieś buty..., ale ojca interesowało jedynie codzienne lanie.

Z tego powodu Linda była skazana na piękące rany na stopach, ale oprócz tego, także na siniaki w okolicach tułowia.

Kiedyś przed tym jak jej siostra ruszyła na wojnie, szalejącą po zachodniej stronie Lovenberg, Linda przeżywała najlepszy okres swojego dzieciństwa. Abigail była dla niej jak matka, tylko trochę młodsza. I bardziej wesoła. I mniej rygorystyczna. Umiała rozbawić Lindę, i to tak bardzo, że zawsze oboje ryczeli ze śmiechu, póki nie złapała ich kolka. Poza tym Linda wiele się od niej nauczyła. Wciąż pamiętała te „szermierkowe wieczory”, gdy Abigail traciła resztki cierpliwości, aby wytłumaczyć jej jak trzymać miecz. Każdego dnia szło jej coraz lepiej, raz nawet wygrała z Abigail w półgodzinnym starciu, jednak, żeby do tego dojść musiała praktykować, pod opieką swojej siostry, przez cztery lata. Szkoda, że nie może tych umiejętności wykorzystać przeciwko swojemu ojcowi. Temu wściekłego wilkowi, który by ją zabił, gdyby nie wykonała jego poleceń. Gdyby Abigail tu była...

Cóż, ona i tak by niewiele zdziałała. Bo to ów wilk był mistrzem szermierki.

W Lindzie wciąż tkwiła nadzieja, że kiedyś Abigail stanie przed domem i przywita ją, cała i zdrowa. Chociaż, już pewnie jakaś strzała łuczników przecięła jej szyję.

Ale cóż...trudno. Przynajmniej ostatnio zrobiło się ciepło.

Linda!!!!

Dźwięk ten sprawił, że kosa wyslizgnęła jej się z dłoni i przepadła w głębi traw.

Linda wyprostowała się. Jej oddech przyspieszył. Chciała uciec. Zawsze chce uciekać, oby jak najdalej. Ale zawsze brakuje jej odwagi. Ciało nie pozwala. Ciało zamarza.

Rozległ się huk na werandzie.

Coś, co wcześniej ryknęło wilczym rykiem, teraz zbliżało się do niej. Jakby obok dudniły o deski łapy niedźwiedzia. Niedźwiedzia nabuzowanego gniewem.

Trzask tłuczonego szkła wzdrygnął nią i zakołysał, z siłą mroźnego porywu huraganu. Omal nie zemdlała, gdy poczuła woń alkoholu i szorstką dłoń, spoczywającą na jej ramieniu.

Pójdź do pana Yarda, po mleko.

Dobrze. Już idę. - pisnęła.

Nie łaź nigdzie indziej. Jeśli się spóźnisz choćby o pięć minut, to wiesz, co ciebie czeka.

Oddaliła się. Oby jak najdale.

Przeszła przez kamienistą dróżkę, raniąc sobie stopy o wystające spod niej korzenie i kamyki.

Dom pana Yarda i pani Melisy, tego wiecznie szczęśliwego i według Lindy, głupiego małżeństwa, położony był jakieś trzydzieści metrów stąd.

Minęła stajnię kojni i przytułek, w którym znoszono siano, razem z przyborami do koszenia. Potem przemierzyła dystans dzielący ją od spichlerza, wcisnęła się pomiędzy dwie ciasno wybudowane chałupy i już znalazła się u celu.

Nieduża, skromnie wybudowana chałupa ukazała się jej oczom. Wykonała parę kroków, stanęła przed werandą i...

Wrzasnęła. Mało brakowało, aby potknęła się o podest.

Krótko mówiąc, na początku sama nie była pewna, co siedzi na tych dwóch krzesłach i co na nią patrzy tym samym co każdego dnia, wesołym wzrokiem. Kiedy poczuła smród, zaczęła kasłać. Jej umysł powoli wracał do siebie, jakby chwilę temu przeżył psychiczny zawal.

Oczy zeszkliły się. Próbowала wytężyć wzrok.

Kości. Kości. Ale czy aby na pewno?

Zamknęła je. I znów otworzyła. I ponownie wrzasnęła. Ogarnęło ją takie przerażenie, że zaczęła wyć.

Wyła pół minuty. Przerwała na dźwięk, podobny do ryku niedźwiedzia. Wtedy machinalnie rzuciła się w bieg. Już nie zwracała uwagi na obolałe stopy. Po prostu pędziła. Pędziła, bo wiedziała, że gdy się zatrzyma, to będzie źle. Pokonanie pięćdziesięciu metrów zajęło jej siedem oddechów. Dobrze, że o tej porze dnia większość mieszkańców Sarein albo orało pole, albo zajmowało się hodowlą, bo inaczej zostaliby poturbowani.

Wbiegła do chłodnej, zacisznej alejki.

Jeśli ktoś stałby obok wybudowanej na przeciwko obojętnej, to zapewne bez problemu usłyszałby jej oddech. I płacz. Straciła kontrolę nad sobą. Nie miała pojęcia co uczynić. Skryła się w głębi alejki i uklękła, zasłaniając dłonią usta. Starła się uspokoić, wyciszyć... ale nic z tego.

Wracaj tu, ty suko!!! Co żeś znowu narobiła!!

Gęsta wiązka światła nagle oślepiła jej jedno oko. Zaniepokoiła się. Drugim dostrzegła dziwne zjawisko, jakie zaszło kilka kroków od niej.

Jakby drzwi... jakby drzwi, za którymi promieniowało słońce leciutko się rozchyliły. Ostrożnie zmierzyła w ich kierunku. Docierało do niej dudnienie ciężkich butów i sapanie kogoś, kto, oprócz swojego gniewu, posiadał także siłę, zdolną, według doświadczenia Lindy, powalić drzewa.

Bała się. I dlatego próbowała pochwycić niewidzialną klamkę tych drzwi.

Pozornie nic się nie wydarzyło. Żadnych błysków, żadnej magii, przekształceń, wybuchów, wiatru...jedyne co uległo zmianie to pogoda. Jakoś taka skwaszona, brudna, deszczowa. Pioruny zagrzemiały. Linda usłyszała głos. Głos należący do jakiejś dziewczyny. Odwróciła się.

Chuda, umięśniona sylwetka wynurzyła się zza rogu.

Co tu robisz? Choć na obiad, a stoisz w jakimś zadupiu.

Uśmiechnęła się. A wręcz wypełniło ją zupełnie nieuzasadnione, głębokie szczęście. Poczuła ulgę. Radość. Zaczęła się śmiać. Śmiała się głośno...choć czuła się jakoś dziwnie. Jak się śmiała, to coś obok płuc strasznie ją bolało. Oprócz tego poczuła mrowienie, zwłaszcza w okolicy palców. Jakby twardniały. I oddychała tak, jakby dławila się powietrzem.

Nie zastanawiała się nad tym dłużej. Ruszyła w ślad za swoją siostrą, do domu.

KONIEC

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

PrzemeK155J, dodano 25.07.2019 11:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.